



## Władysława Kamińska

część IV z V

Sygnatura notacji: N0877

Data urodzenia: 14.11.1930 r.

Data nagrania: 28-29.11.2016 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Bydgoszcz, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Rafał Pękała

Czas nagrania: Część I: 47 min, część II: 70 min, część III: 84 min, część IV: 59 min,

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Rafał Pękała:** Skończyła pani na tym, że dotarliście do Łucka. Łuck to już było miasto wojewódzkie.

**Władysława Kamińska:** Tak.

**Rafał Pękała:** Proszę kontynuować, co się dalej działo z panią, z pani siostrą, mamą i bratem.

**Władysława Kamińska:** Proszę pana, więc nas umieścili wszystkich w podziemiach katedry. Katedra miała trzypiętrowe podziemia, takie lochy, jak to się dawniej mówiło. Lochy, olbrzymie lochy. I nas tam wszystkich tych niedobitków spędzili i trzymali nas w tych podziemiach. Jeść nam dawali, rzucali przez okienka, proszę pana, obierki z ziemniaków, gniłą kapustę, jakieś takie kości olbrzymie, końskie czy jakieś. Strasznie, głodówka.

**Rafał Pękała:** To Niemcy byli, tak?

**Władysława Kamińska:** Niemcy, tak. To jest 1943 rok.

**Rafał Pękała:** Tak, Niemcy traktowali was, jak jeńców?

**Władysława Kamińska:** Proszę?

**Rafał Pękała:** Czy Niemcy traktowali was, jak jeńców, jak więźniów?

**Władysława Kamińska:** Nie, ja wiem, jak oni nas traktowali, chyba jak więźniów.

**Rafał Pękała:** Bo pozwalali wam wyjść z tej izby?

**Władysława Kamińska:** Nie, nie. Myśmy już byli tam zagonieni i już warta. Katedra, jak wiadomo, miała, tak jak wszędzie przy kościele taki placyk był, ogrodzona, brama zamknięta na klucz, warta w bramie i już nie mieliśmy wyjścia stamtąd. I ponieważ opowiadam, mój kuzyn przed wojną był, ten Piotr, stryjeczny brat, był w wojsku, wie pan co, teraz nie wiem, miał jedną gwiazdkę. Czy to był podporucznik, czy to był przed wojną... nie, to nie był, to był... To inaczej nazywało się.

**Rafał Pękała:** Chorąży.

**Władysława Kamińska:** Chorąży. O, chyba chorąży. Tak, właśnie mówię, jedną gwiazdkę miał. I potem był na froncie. Udało mu się jakoś uciec z tej niewoli i dotarł szczęśliwie do domu. I tak jak mówimy, już był chłopak bardzo rozgarnięty. Ożenił się, ale jeszcze nie mieli dzieci, młode małżeństwo było. I on się dowiedział, jakoś tam z tymi Niemcami się dogadał. Zresztą bardzo bogaci byli, bo stryj miał, mówię, dużo, miał dwoje dzieci tylko i bardzo duży ten majątek miał. I dowiedział się, że przyjeżdża komisja, i będą nas selekcionować. Dzieci do zniemczenia, starszków do gazu, a młodzież na roboty do Niemiec. Przekupił Niemców, złota już tam dał tyle w nocy, druga godzina była w nocy, już z nami umówił się, jak już wszyscy tam, bo jednak posnęli na tym betonie takim. Też taki nie beton, tylko takie klepisko było tam w tych piwnicach. Taka wiadomo, ale każdy znużony, przysnął tam. Więc pojedynczo cichusieńko, mówi, żeby żadnego najmniejszego szmeru. Wychodzić. Brama niby zamknięta, ale nieprzekluczona, czyli już Niemiec wziął pieniądze, ale dotrzymał słowa. Brama nieprzekluczona i my za tę bramę, on miał te swoje konie gdzieś ulokowane prywatnie u kogoś, bo tam przy klasztorze nie było miejsca, w tej katedrze raczej, że mieli te konie. I myśmy tam do tych koni, do tych wozów i uciekliśmy. Uciekliśmy z tego podziemia w katedrze, bo już miała być tam za dzień czy za dwa, komisja, która już by nas tam wszystkich... rozporządziła nami wszystkimi. Proszę pana, więc był Łuck dziwnym miastem, bo płynął Styr w Łucku, rzeka Styr. Ale Styr była granicą miasta. I tak śmiesznie, że dosłownie do samego Styru ulice, a za Styrem Łąki już są. Znaczą, most przez Styr i już Łąki, czyli już skończyła się, jest wieś Hnidawa. Nazywa się Hnidawa i zamieszkała dużo przez Czechów, ale i Polacy gdzieś tam się znajdują, ale przeważnie tak nam powiedziano, że Czesi. Uciekamy. Przez ten most uciekamy na tę Hnidawę. Uciekliśmy tam, zajechaliśmy, to tak było parę kilometrów już, już od Łucka w głąb. Napatrzył jakąś taką, na jakiś taki domek, wiadomo, zamożniejszy. I wszedł, pyta się, czy nie byłoby jakiegoś jednego pokoiku, jednego pomieszczenia, byle pod dachem, żeby... tak jak tłumaczę, to jeszcze może początek był kwietnia dopiero, bo to działo się 25 marca. Tak, to mógł być 2-3 kwietnia już. Bo tydzień byliśmy w tych podziemiach tam. Ta gospodyni mówi, tak, po polsku mówi, że oni są Polacy też. I że jest jeden, tylko nie ma żadnych mebli tam, ale wolny pokój jeden jest. No i mówi: „Macie szopy, to i konie postawicie sobie w tej szopie, żeby nie stały pod gołym niebem”. My tam w tym tam pokoju rzeczywiście nanosili, brat mój i ci dwaj kuzyni słomy tej takiej prostokątnej, bo to maszyny były dwie, które młóciły, że słoma prościuteńka była i taka ta zmieszana słoma, już taka ta pokręcona na sieczkę. Żeby położyć się na tej słomie, bo jed-

nak tak twardo na tych deskach, bo nie mamy żadnej pościeli, nic, ale chociaż na tej słomie. Jak myśmy się tylko już tak tam rozłożyli, jest już wieczór. Naraz zjawia się, przedstawia partyzantka rosyjska. A to byli znowu bandziory, banderowcy. Ale po rusku rozmawiają i zjawia się tu partyzantka. Wchodzą do nas do tego pokoju, myśmy od razu zdrętwieli, mówimy: „No tak, uciekliśmy już spod siekiery, to tu już będzie nam koniec”. Oni po rosyjsku rozmawiają, mówią, że oni w lesie tu stacjonują, w lasach, ale zobaczyli światło, że świeci się, to przyszli troszeczkę rozgrzać się. A kuzyn mówi do tej swojej matki: „Mamo, widzisz, panowie z lasu głodni są. Zrób prędko coś do zjedzenia. Nasmaż jajek chociaż patelnię”. I tam była taka płyta, jak to dawniej, wie pan, na opał, na drewno. Prędko tę płytkę rozpalili, a my siedzimy na tej słomie. Stryjenka tę patelnię na ogień, tej słoniny nakroiła na tę patelnię, posmażyła, jajek nabiła, chleb wyciągnęła, bo mówię, moi kuzyni wyjechali z wszystkim, bo oni sami uciekali. A my w napadzie uciekaliśmy. My nic nie mieliśmy. Kuzyn wyciągnął wódkę jakąś, tam pół litra wyciągnął. Zaparzyła, wodę zagotowała i oni tam wypili, nie wiem, czy to herbata była z tą wódką, że rozgrzeli się. Mówi tak do tej mamy swojej: „Panowie z lasu, zmęczeni, głodni”. I wiecie panowie, ci bandziory jednak jakoś tak, widocznie serce może też, że tak jeszcze ich przyjęto tu. To zjedli, to podziękowali: „bolszoje spasibo, bolszoje spasibo to życzymy spokojnej nocy” i wyszli. Jak oni wyszli, to on mówi: „Prędko zbieramy się. Tylko żeby tak oddalili się, żeby nas nie widzieli. Uciekamy, bo oni wrócą. W nocy wrócą tu po nas. Toż to banda była. Toż to nie byli Rosjanie, to była banda”. I my, jak już ich nie było widać, już tak przeszło z pół godziny, konie do wozu i uciekamy. Jedziemy w nieznane. Jedziemy w nieznane gdzieś tam parę ładnych kilometrów, ale już boimy się wchodzić gdzieś do kogoś, bo nie wiemy, do kogo wejdziemy. Czy Ukraińcy będą, czy co. I jest takie duży obszar łąk. Same łąki, łąki. I na tych łąkach budynki stoi. Znaczą, budynek, szopa, stodoła, nazwać można było stodoła stoi. Bo rzeczywiście jak było dużo łąk, to trzeba siano gdzieś przetrzymać pod dachem, to stodoła taka, żeby siano było. Jedziemy do tej stodoły, stodoła, prawdziwa stodoła, ale duża, tak że wjechali z tymi wozami do środka, że te konie schowane, a w tych sąsiadkach, tak jak ja panu tłumaczyłam, że to są takie te sąsiadki, pełno siana w tym. To mówimy: „Teraz my będziemy tutaj w tym sianie, ciepłutko, zakopujemy się i już nam nie będzie zimno w tym sianie”. No i tak wszyscy w to siano, poschodziliśmy z tego wozu, w to siano zakopaliśmy się i tak siedzimy w tym sianie. Ale przeszedł dzień, drugi, trzeci, czwarty. My siedzimy w tej stodole. I boi się ktoś nosa... W końcu ta żywność nam kończy się, bo my nie mamy nic. Nas utrzymuje stryjenka, która tak jak panu mówię, oni wyjechali z żywnością, ale jednak nas cztery osoby, bo my: mamusia, ja, siostra i brat. No i ich cztery osoby, to ta żywność poleciała. Żywność się kończy. Ten, proszę pana, Piotr mówi: „Co będzie, to będzie. Ja jutro wyjeżdżam z Zygmuntem, bierzemy konie, wyjeżdżamy, jedziemy z powrotem do Łucka”. A już przecież jak front przeszedł raz, to już mosty były zburzone. Wiadomo, że Niemcy zaraz mosty budowali na nowo, żeby tylko był przejazd, bo przez Styr nie przejechało się inaczej, tylko mostem. Mówi: „Może gdzieś jakąś pracę znajdziemy. Może ktoś nas zatrudni za jedzenie, bo nie płaciło się nikomu, tylko za jedzenie”. I zgłosił się, budują most. I on tak tam podszedł do tego Niemca, i mówi, przedstawia się, mówi, że ma wóz dobry i konie ładne, czy by nie miał jakiejś roboty. A on mówi: „Człowieku, jest robota, wożenie właśnie materiałów różnych”. A przecież mówię panu, w tym czasie tych samochodów nie było tyle, jak teraz mamy całe ulice samochodów. Samochody rzadziej były. Więc wszystko odbywało się transportem konnym. I zatrudnił tego mego kuzyna jednego i drugiego do wożenia jakiegoś tam, nie wiem, jakiego materiału, ale mu coś tam wozili. Nie dostawali pieniędzy, ale już chociaż to jedzenie dostali. Jakies tam taką wojskowe te, co to wojsko jadło, to im dawali to. No i potem to już kwiecień, już ładna wiosna się robi, jest duży ogród i ten Niemiec, a my siedzimy. Brat, siostra i ja siedzimy w tym sianie tam z tą stryjenką i z tą jej synową Zosią. I mówię, karmi nas, ale już kończy się zapasy kompletnie. I ten Niemiec mówi: „Wiosna się zbliża, taki ogród

ładny tu, ale nie ma ogrodnika. Nie mamy nikogo, kto by się zajął tym ogrodem". A ten mój kuzyn mówi: „Ja mam takiego młodego dobrego ogrodnika”, na mega brata. Mój brat, no ogrodnik. Znał się na polu, bo przecież jak mieliśmy tyle pola, to znał się na polu i na warzywach też wiedział, co marchew, co kapusta, to wiadomo, wiedział. No to dawaj go. Mówi: „Młody chłopak, ale taki zdolny”. I brata wciągnął do tej pracy, do tego ogrodu u Niemców i brat zajął się tam z tym ogrodem tam komuś do pomocy, kto dał, obsiewali już warzywa, wszystko, ziemniaki sadzili, wszystko. I proszę pana, brat dostawał manierkę soczewicy. Na gęsto soczewica i to dostawał. Ponieważ my głodem przymieramy, wie pan, że były już takie momenty, że nic już nie było, to człowiek to siano brał, żuł to siano i z tego siana tak te soki, tak jak pożuł, to te soki, to soki się przełykało, a siano się wyrzucało. Sianem tym się żywiliśmy, bo już nie było czym. I brat zjadł trochę tej soczewicy, resztę zostawił, żeby przywieźć dla mnie, mamy i dla siostry, żeby po łyżce chociaż było tej soczewicy. A Niemiec zobaczył to i mówi: „Co, nie smakuje? Nie smakuje?”. I tak jak oni z tymi pistoletami, pod brodę mu: „Nie smakuje? Nie smakuje?”, a brat wystraszony, bo już myślał, że go zastrzeli, bo przecież Niemcy nie patyczkowali. Za byle co buch i koniec. A brat, wiadomo, kaleczoną niemczyzną, ale tyle mu wypowiedział, mówi: „Ja mam alter mutter”, starą matkę, „krank” - chorą, i „kleine schwester”, i mówi: „Oni są głodni, oni nie mają co jeść”. Niemiec popatrzył, mówi: „Essen” - jedz. „A ja dla schwester i dla mutter dam”. Ja dla matki, siostry dam. I faktycznie brat, idąc do domu, dostał drugą manierkę tej soczewicy. Wie pan co, że wtedy to było coś takiego, co człowiek wyobrażał, że to niebiański pokarm. Tak, jak człowiek już był tak wygłodzony, taka ta była soczewica dobra. Po wojnie długi czas u nas nie można było dostać. Ja tylko marzyłam po wojnie zdobyć soczewicę, żeby znów posmakować tego smaku. Kto wtedy nam był w tym głodzie, jak myśmy jedli to. Potem nareszcie już ta zdrowa żywność zaczęła się i była ta soczewica. Ugotowałam tę soczewicę, ta soczewica niedobra była, wcale nie smakowała mi. Ale w tym głodzie to było coś najwspanialszego. I tak że właśnie brat dostał się, już nam się polepszyło, bo już tę soczewicę. Ale siedzimy w tej stodole. Nieumyjni, nieprzebrani, nieuprani, bo nie ma gdzie. I w końcu znów ten kuzyn mówi: „Tu tak daleko dojeżdżać jednak z tego”, bo to już kawałek za Łuckiem. Mówi: „Ja poszukam, może znajdę coś w Łucku samym. Jakies też, jakąś opuszczoną chałupę, coś tam”. I było takie, wie pan, duże... Czesi mieszkali. Duży dom, duży, piękny dom. Przy tym stodoła była też duża i on zaszedł tam i pyta się, czy może by coś było do wynajęcia. Nawet tę stodołę. A ta Czeszka mówi, że tak, ta stodoła nie jest im potrzebna, bo mówi, że tam nie zajmują się chyba czymś tam, że możemy. I myśmy przeprowadzili się z tej stodoły na polu do tej czeskiej stodoły. To było w Łucku na ulicy Królowej Jadwigi. Blisko właśnie katedry tam. I już byliśmy w śródmieściu. Ta Czeszka pozwoliła nam wody od siebie brać, bo miała na podwórzu pompę, nie studnię, tylko miała pompę, gdzie się taką tą rączką pompowało tak. Już pozwoliła, mówi: „Bierzcie państwo wodę, żeby przecież było i do picia, i...”. Bardzo dobra była ta Czeszka. Była dobra i tak nawet z początku to i pomagała i coś tam do jedzenia dała. Dobra była ta Czeszka. I potem... Ale zbliża się jesień, a jednak zima znów w stodole. Bo myśmy przecież napad wiosną i przez lato to się dzieje. Siostra poszła do katedry i wiadomo, uklękała, zaczęła modlić się, zaczęła bardzo płakać. Prosić Boga o jakąś pomoc, no, zginiemy dalej. Bo nie ma wyjścia innego, siedzieć w tej stodole. I to już siostra mi opowiadała, jak ona tak sama, nikomu nie ma, pusta katedra, pusty kościół, ona tylko jedna tak klęczy i płacze, i modli się. Podchodzi do niej pan, bardzo elegancko ubrany, kapelusz, płaszcz. Mówi, bardzo elegancko ubrany, i pyta się: „Dlaczego pani tak płacze?”. A ona mówi, człowiek przecież obcemu, ale opowiada te swoje przeżycie, mówi: „Jesteśmy niedobitkami z tej miejscowości, tam od Łucka 40 kilometrów położonej. Znaleźliśmy się tu w Łucku, nas Niemcy tu przygnali. Jesteśmy bez wyjścia. Bez wyjścia. Siedzimy już tyle czasu po stodołach”. I w Łucku jest zamek Lubarta. Piękny zamek, taki jak to prawdziwe te zamki z tymi wieżami, ta fosa wkoło zamku. Bo ja tam wciąż chodzi-

łam, to pamiętam. Ta fosa, te bramy takie do tego zamku w tych wieżach. I w tych pomieszczeniach zamkowych, zamek Luberta, są osadzeni polscy jeńcy, czyli żołnierze wzięci do niewoli polscy. Jest obóz jeniecki w Łucku w tym zamku. I ten pan, który tę siostrę w tym kościele zaczepił, mówi: „Zgłosi się pani jutro czy tam dzisiaj do tego zamku, do tego i tego...”, podaje nazwisko, „A kucharką tam będzie pani Korczakowa. Pani Korczakowa jest kucharką, ale potrzebuje pomocy, bo tych więźniów tam jest dużo”. Nie wiem, czy tam była setka ich, czy... Że ona sama nie daje już rady. Ona potrzebuje... I zgłosi się pani tam, a Niemiec jest komendantem tego obozu, ale Niemiec jest ze Śląska, czyli polski Niemiec, ze Śląska. On jest i mówi: „Dość dobry człowiek jest. Starszy pan, dość dobry człowiek. On jest komendantem tego obozu. I pani się tam zgłosi do pracy”. I siostra poszła rzeczywiście, tak jak on wskazał, do tego zamku, zgłosiła się do tej pani Korczakowej, do tej kucharki, to była Polka. Ona zaraz tego Niemca tam, że mu wytłumaczyła, że potrzebuje pomocy, bo nie daje rady. Bo to nie za pieniądze, to było tylko za to, że zje. I siostra zaczęła się już w tym zamku jako pomoc kucharska do tej pani Korczakowej. Ale siostra z domu przy mamusi jednak umiała dużo rzeczy zrobić takich, że mówi, nieraz z niczego to, mówi: „Jak poprosiłam tego Niemca, żeby tam troszkę dał, święta podchodziły, żeby troszkę tam nam czegoś dał, czy tej margaryny, to ja upiekę chociaż jakąś drożdżówkę na te święta, żeby ci jeńcy mieli jednak to święto”. I przy zamku był taki piękny piętrowy domek, taka willa piękna. I w tej willi mieszkała... Bo jeńcy byli w zamku zakwaterowani. A cała niemiecka obsługa mieszkała w tej willi. Piękna willa taka. Ozdobne te wieżyczki, te okna u góry i ogród kwiatowy ładny. I ten Niemiec, ten cały już szef tego, mówi, że zabiera ją z tej kuchni, zabiera ją do tej willi, żeby ona dla Niemców gotowała. Da jej do pomocy jednego z żołnierzy, bo mówi, nas jest tam ileś tam, osiem czy dziesięciu, że może będzie, ale zwraca się do siostry bardzo ładnie, nie mówi jej ani „ty”, tylko... Siostra była „Józefa”, więc ciężko jemu było wymawiać „Józefa”, Jula. I „frau Jula, frau Jula”, czyli „panno Julu, panno Julu”. Nie zwraca się per „ty”. I mówi, że „Frau Jula dam pomoc, takiego starszego żołnierza”. Krzywokulski nazywał się. Mówi, dam, bo nawet siostra go znała, bo to był z naszych stron też ktoś i żeby Niemcom gotowała. No i też siostra już tam poszła rano, zjadła już to śniadanie, zjadła obiad, a na kolację dostawała... Albo mogła zjeść, albo mogła tę kolację zabrać do domu. I taka sama sytuacja. Siostra tę kolację zabiera do domu, żeby dla mnie i dla mamusi było coś, bo brat już dostanie w wojsku tę soczewicę, to już naję się, ale my jesteśmy głodne. I też ten Niemiec napatrzył, i mówi: „Dlaczego ona nie je tej kolacji?”. A ona to samo, rozplakała się i mówi: „Ja mam małą siostrę i chorą matkę starszą. Oni głodni siedzą”. Mówi: „Jula, jedz tę kolację. Ja dla siostry, dla matki dam”. I zawsze tak, wie pan, jak dziś pamiętam mortadeli kawaleczek. Taki kawaleczek ładny mortadeli, a ta mortadela takie miała kosteczki słoninki, ale takie nieduże, co kawaleczek od... Jakie to było dobre, jaka ta mortadela była dobra. Chlebek, dżemu, dżemek był w takich jakieś takie, nie pamiętam, pojemniczki były, jakieś takie, nie wiem, tekturowe, że takie pojemniczki. Dżemek, no, to jakiś tam jak serek był, to serka, że dla mnie i dla mamusi Niemiec dawał dodatkowo, a siostrze kazał zjadać to. I ona tym Niemcom tam gotowała. I tak to było, 1943 rok do końca, a w 1944 roku mieliśmy wyzwolenie. W lutym już nadszedł front i w lutym już, proszę pana, stanął front, ale chyba ponad miesiąc Łuck był w obstrzałach, bo z jednej strony Niemcy byli, znaczy się strony Niemcy w mieście, w Łucku, a z drugiej strony z tyłu i Styr grodzi, a z tej strony Styru Rosjanie i Polacy. I miesiąc nie można było zdobyć, tak Niemcy bronili się w tym. Myśmy pod tym obstrzałem, pod tymi kulami. I bombardowania, bo już były bombardowania, już samoloty Łuck bombardowały. Aż dopiero ściągnęli katiusze i jak katiusze ściągnęli, tak w mig Niemca wygnali z Łucka. I już na to było 1944 rok, luty. Siostra pracowała tam, tak jak mówię, dla tych Niemców gotowała. Aha, i jak siostra zaczęła pracować u tych Niemców, to mówi do tego, i on jej powiedział, mówi: „Ja jestem polskim Niemcem. Możemy po polsku rozmawiać, tylko żeby nas nikt nie słyszał. Bo ja ze Śląska pochodzę”.

I mówi. Bardzo dobry był. Dobry człowiek był. Miał, jak to wojna, miał też sobie panią do towarzystwa, kochankę, a ona była Ukrainką. Siostra opowiada, że bardzo ładna była. Młoda kobieta, taka, mówi, on był dobrze, bo i 60 parę, pod już 70 lat nawet, a ona młoda, 30-letnia. Ładna, bardzo ładna była ta jego. I mówi, i ta, jak on zwracał się do siostry „frau Julia”, to ta się nie mogła z tym pogodzić, że on do niej mówi: „Frau Joanna”, bo ona była Joanna, i „frau Julia”. „Przecież to służąca, jakim prawem ty mówisz do niej «panna Julia?»” A on mówi: „Ale człowieka trzeba szanować. Bardzo porządna dziewczyna i trzeba szanować”. Ale siostra mówi, że pomimo że była Ukrainką, ale jakoś siostra z nią się tak, znaczy się, żyła, bo ona po prostu ten cały... On był chyba Scharführer [sierżant], jakieś tam miał te swoje dystynkcje wojskowe. Był starszym facetem, a ona młodą, przystojną, więc ona miała tych Niemców młodych miała za kochanków, ale wiadomo, żeby starszy... I umawiała się z nimi, i ta siostra nieraz musiała jej te miłosne liściki nosić do tych innych Niemców, z którymi ona chciała się umówić, bo ona była młodą osobą, a to był starszy pan ten Niemiec. Tak że siostra mówi, jakoś jej tak specjalnie nie szkodziła. Nie szkodziła. A mówi: „Ja już byłam taka uległa, już tak jej, jak to się mówi, zawsze dogadzałam, żeby już ona nie mściła się na mnie”. I proszę pana, ten... To było tak, siostra gdzieś była w końcu kwietnia, może to już był początek maja, jak zaczęła pracować w tym, to do końca roku i tak jak mówię, 1944 na początku, już coraz bliżej front się zbliżał do nas i proszę pana, wtedy w lutym już wyswobodzili nas, oswobodzili.

**Rafał Pękała:** A gdzie się podczas tego obstrzału...

**Władysława Kamińska:** Proszę?

**Rafał Pękała:** Gdzie się ukrywaliście, jak łuck był pod obstrzałem Rosjan?

**Władysława Kamińska:** Do piwnicy. Przeważnie do piwnic chowaliśmy się. Tak, bo piwnice te... Domy miały takie głębokie piwnice. A, i tu nie skończyłam. I siostra poprosiła w końcu tego swego już szefa, tego Niemca, mówi, że my nie mamy gdzie mieszkać, bo mu opowiedziała, że jesteśmy rozbici przez Ukraińców, nas wymordowali, ojca, brata zamordowali, a nas tu Niemcy przywieźli do Łucka, żeby jakieś mieszkanie. I dostaliśmy mieszkanie nad samym Styrem. To było tam zaraz więzienie, zaraz dosłownie na zapleczu ogrodu więzienie było, mury więzienne, a po drugiej stronie była kuria biskupia, bo to biskup był w Łucku. I ten Styr płynął. Nad samym tym Styrem dostaliśmy. W suterynie, takie głęboko, tak jakby trochę w piwnicy, ale dostaliśmy takie dwa pokoiki z kuchenką. To to już, wie pan, to był pałac już wtedy po stodołach tych. I zamieszkaliśmy już właśnie w tamtym. I jak już ten front się zaczął zbliżać coraz bliżej, to siostra, idąc do pracy, musiała, bo tak tu nad Styrem mieszkaliśmy, musiała przejść uliczkę i tu skrócić w prawo, i tu już był zamek, ale po drodze katedra była. Więc ona zawsze tam wstąpiła do tej katedry na ten paciorek. I ten pan, który ją skierował do tej pracy u tych Niemców, znalazł się również w tej katedrze. I mówi: „Proszę panią, jutro niech pani nie idzie do pracy, bo już będą obóz cały, bo już front podchodzi coraz bliżej, jutro będzie już ewakuacja obozu, Niemców i całą służbę zabierają. Wszystkich, tak że i panią też zabiorą, i już popędzą dalej w głąb Niemiec”, a tu zostają ja i mamusia. Ja dziecko, a mamusia starsza osoba, zostajemy bez opieki. „Jutro pani już nie może iść do pracy”. Więc siostra została w domu, napisała pismo do tego Niemca, ja musiałam to pismo zanieść, że jest bardzo chora, chyba tyfus, bo ma takie plamy różne na ciele. A Niemcy tyfusu to tak bali się, jak ognia. Bo to bardzo zaraźliwa choroba jest. I mnie, a ponieważ ja tam do siostry przychodziłam, przeważnie zawsze wieczorem biegłam

po nią, bo ona musiała kolację wydać, to wiadomo, jak zima, to godzina szósta to jest ciemna noc przecież. To ona nawet bała się sama do domu wracać. To ja biegłam po nią, to tak bliźniutko było i zawsze już we dwie szłyśmy do domu. Ja tam znałam to wszystko gdzie tam obrócić się. I napisała to pisemko do tego swego szefa, tego Niemca, że jest bardzo chora, ma wysoką temperaturę. Mówi: „Mama zachorowała, chyba ja od mamy zaraziłam się, plamy na ciele”, a to wojna, nie ma lekarzy, żeby tak lekarz zaraz... I że nie może przyjść do pracy. Niemiec: „Nie, nie, to niech nie przychodzi, bo tyfus to zaraźliwy jest”. I tak siostra uniknęła wywiezienia z tym całym obozem w głąb Niemiec. Nie wiadomo, czy by po drodze pozabijali tę obsługę, tych Polaków, nie wiadomo co by już stało się. I tak że już potem nastąpiło właśnie to wyzwolenie, ale te bombardowania to pamiętam, bo bardzo więzienie bombardowali, a myśmy graniczyli... Przy tym domku ten ogród dochodził do płotu więźniarskiego. A to był płot, to był olbrzymi mur taki na kilka metrów, lity mur taki wkoło więzienia był wybudowany. To mówię, bombardowania przeżyłam bardzo w tym łucku. A jak tylko to, to mówię, do piwnic chowaliśmy się, właśnie do piwnic, że niby tam schron, ale przecież jakby w dom trafiła, to by i te piwnice zawałiło, to wiadomo. Ale taka była... Nie było innej kryjówki, tylko była taka do piwnicy. I 1944 rok weszli Rosjanie i Polacy, już polskie wojsko. Zaraz brata zabrali do wojska, tak jak mówię, do szkoły tej rosyjskiej, do Riazania wysłali. Trzy miesiące był w tej oficerskiej szkole. Dostał gwiazdkę i na front z karną kompanią. A my zostałyśmy. To był rok 1944, luty, do końca 1944. 1945 w maju wyzwolenie, 9 maja jest wyzwolenie. Wie pan co, jak dziś pamiętam ten dzień wyzwolenie, co się działo na ulicach. Jakie wiwaty, jakie... Bo najpierw nas... Siedzimy w domu, jakieś takie strzały na ulicach, a to już nie ma wojny, znaczy, front już poszedł daleko, a tu jakieś takie strzały na ulicach. Wyjrzeliśmy, co się dzieje. A tu wojsko rosyjskie na ulicy wyległo i w górę strzelają na wiwat. I „Koniec wojny”, krzyczą „Koniec wojny”. Wie pan, jaka to była radość? Ludzie płakali, na ulicy klękali, do Boga wznosili oczy, płakali: „Koniec wojny”. To było 9 maja. A za dwa tygodnie myśmy już jechali tu na Wschód. Aha, koniec maja było tak, ale siostra w międzyczasie, jak w 1944 roku w lutym nas wyzwolili, to potrzebowali pracowników. Siostra, między Ukraińcami byliśmy, to jednak umiała i po ukraińsku, i to, a to mówię, bardzo zbliżony język. I siostra zatrudniła się w banku, w rosyjskim banku, bo nie mieli ludzi do pracy. W banku pracowała jako urzędniczka. To już, wie pan, ten rok, że tak powiem, odżyliśmy. Bo dostawała pensję, już Rosjanie płacili normalną pensję. Już tylko, wiadomo, kupić co było na rynku, co gospodarz tylko przywiózł, żeby coś kupić, to to mieliśmy. Przecież sklepów nie było jeszcze tak pootwieranych, bo to jeszcze przecież wojna trwała. I mówię, i to tak do zakończenia wojny, a po zakończeniu to już dwa tygodnie i my pojechalśmy na... Nasz transport szedł do, koło... O, do Wałbrzycha. Nasz transport szedł do Wałbrzycha. Ale w Bydgoszczy na ulicy Gdańskiej, główna ulica Bydgoszczy, mieszkał mój stryj. Czyli drugi brat mega ojca, bo ojciec miał dwóch braci: Stanisława i Marcina. I ten stryj był bezdzietny, nieżonaty w ogóle, nieżonaty był, nie ożenił się. Miał bardzo piękny dom tu w Bydgoszczy na Gdańskiej. Do tego przyległe w środku dwie takie te suteryny, ale piętrowe suteryny, dwupiętrowe. Dom też dwupiętrowy piękny. Bardzo bogaty był stryj, bo był w Ameryce. W czasie jeszcze zaboru carskiego Rosjanie zabierali na siedem lat do wojska. Za cara siedem lat trzeba było wojsko odsłużyć. I rodzice, tak jak moi dziadkowie, gajowym czy leśniczym był dziadek. Mieli pieniądze też. Jak już jego rocznik podchodził, że do wojska, to pieniążki mu dali i przez zieloną granicę, i wyjechał do Stanów Zjednoczonych ten mój stryj. Tam parę lat popracował, też miał średnie wykształcenie, pracował w banku, popracował parę lat, zebrał ładny pieniąż i wrócił do Polski. Tu w Bydgoszczy kupił tę piękną kamienicę. I jak już nas zaczęli wywozić, to mówimy, już jakoś, żeby do Bydgoszczy dostać się do stryja, to już stryj się nami zaopiekuje, bo przecież jest kawalerem, nie ma ani rodziny, nikogo. Bardzo taki rodzinny był, dobry ten stryjek. Jak latem przyjechał zawsze na urlop do nas miesiąc, Boże, to tam wóz nie mógł prezentów pomieścić, tyle było walizek, tyle było

prezentów. Bardzo bogaty był. No i jak już nas wywieźli, gdzie jedziemy, do Wałbrzycha nas wiozq. I na Śląsku taka mała stacyjka była. Boże, jak ta stacyjka, zapomniałam, jak się nazywała. W każdym razie na bocznice tam nas na razie, bo to staliśmy na bocznicy. Dwa tygodnie do Bydgoszczy jechaliśmy. Dwa tygodnie.

**Rafał Pękała:** Cały czas kolejq?

**Władysława Kamińska:** Kolejq, tak. Ale wagony były odkryte, te bydlęce, lory. Odkryte wagony, czyli jak słońce prażyło, to prażyło. Jak lał deszcz, to lał deszcz. Jak, proszę pana, zrobili postój nam, żeby, jak to się mówi, za potrzebą, za sprawami fizjologicznymi wyjść, to dobrze, to wyszliśmy. Jak nie stanęli, to trzeba było po prostu w tym wagonie wiaderko i załatwiać się. No, potrzeba ludzka, naturalna. Więc taka, że podróż była straszna. I mówimy, może jak do tej Bydgoszczy, żeby dostał się nasz wagon. Były w tym wagonie trzy rodziny. Właśnie jeden, jedni sąsiedzi nasi z Wołynia, z Jamińca, Kamińscy, i proszę pana, za którego potem ja syna tego Kamińskiego wyszłam za mąż, i mamusi brat rodzony, ten Franciszek Sawicki. Nas trzy rodziny było w tym jednym wagonie. A jak wyjeżdżali, to już ludzie tak radzili...Aha... Mój wujek był też światłym człowiekiem, był prezesem mleczarni na Wileńszczyźnie. W Grodnie mieszkał wujek.

**Rafał Pękała:** Który wujek? Ten Marcin?

**Władysława Kamińska:** Nie, wujek, mamusi brat. Marcin to stryj. Mamusi brat. To jest różnica, wujek, stryj, to jest różnica. I wujek, jak już Rosjanie weszli do nas w tym 1944 roku, nie wiem, jakoś tam umiał, to zabrał się, żeby skądś grosza zdobyć za pędzenie wódki, za robienie tego samogonu. Ja jeszcze wtedy nosiłam wodę, bo do robienia tego bardzo dużo wody było potrzeba, a w naszym tym domku potem myśmy już zmienili mieszkanie na inne, takie już ładne, większe mieszkanie, już nie w piwnicy takiej, ale już jak Rosjanie nas oswobodzili, to wtedy zmieniliśmy mieszkanie, ale nie było, kiedyś tak nie było w domu wody. Przecież wie pan, to przedwojenne czasy, to tak ludzie nie mieli w domach. Nie mieliśmy w domu wody. I taka uliczna pompa, co na ulicy dla ludzi była, przez wojnę była zniszczona, czy... Nie wiem, była zniszczona w każdym razie. Ale przez ulicę też mieszkali Czesi. I mamusia poszła, poprosiła, czy możemy od nich wodę brać. Mówi: „Ale proszę bardzo, to bierzcie państwo, to przecież pompa stoi na środku podwórka”. I wujek nie chciał na siebie ściągać podejrzania, że tyle, bo to bardzo potrzeba wody dużo do tego pędzenia samogonu, bo to jakoś tam leci ta rurka i to wciąż ta woda musi lecieć, żeby chłodzić tę rurkę, żeby tam ten spirytus się oddzielał. To tak, trochę wujek z wujenką tej wody tam nosili, a resztę ja nosiłam, że niby dla nas ta woda potrzebna. Boże, to ja miałam przecież 13 lat, 14. rok, co ja nanosiłam się po dwa wiaderka tej wody. I to nieraz wyszła Czeszka, mówi: „Oj, tak dużo wody nosisz”, „A, bo mamusia pranie robi, bo mamusia pranie...”, bo ja temu wujkowi tak tę wodę nosiłam. I zawsze wujek nam tej wódki jak zrobił, to dawał. A wie pan, wódka w tym czasie to był pieniądz. To była karta przetargowa. Za wódkę wszystko pan dostał. Bo Rosjanie lubili wypić, a sklepów nie było nigdzie, to tylko kto miał wódkę, to wszystko dostał. Jakie oni mieli dobre te tuszonki. Takie puszki, świńska tuszonka. To były chyba amerykańskie puszki. Jakie to było dobre. Zresztą jak pan wie, jak byliśmy w głodzie, to było wszystko dobre. To mówię, wszystko. I na drogę też... A na drogę, jak nam ile można było zabrać. Wolno było zabrać tyle, ile uniesiemy czego.



**Rafał Pękała:** Już do Polski, tak?

**Władysława Kamińska:** Jak już do Polski jechaliśmy.

**Rafał Pękała:** Ale zanim pani powie o tym, co, jak się udało wam zgodę uzyskać na wyjazd do Polski? Bo to trzeba było mieć zgodę, żeby wyjechać z Rosji do Polski.

**Władysława Kamińska:** No, jak z Rosji? Mieliśmy kartę ewakuacyjną.

**Rafał Pękała:** Jak to się...

**Władysława Kamińska:** Nam przysłali, urzędowo przyszło. Przyszła urzędowo karta. Ta, co pan widzi. Przyszło z urzędu. Siostra poszła tam do tego urzędu i pyta się, mówi: „Czy my musimy...”, tak, wie pan, ciężko było ze swoich stron rodzinnych, zawsze marzyliśmy, że my może jeszcze wrócimy na ten Wołyń do swego tam tego majątku. A ten Rosjanin, urzędnik mówi: „Nie, nie musicie, bo macie dwie drogi. Albo na Wschód, albo na Zachód. Jeżeli nie pójdziecie na Zachód, to pojedziecie na Syberię”. To wie pan co, to wiadomo, że każdy już wolał jechać na Zachód do Polski, aniżeli to. Mówi, tak jak pan widział dokument cały, na podstawie tego dokumentu jechaliśmy. Po prostu wyrzucali nas. To nie to, że jechaliśmy. Wyrzucali nas. Przymusowo, o. To nie to, że było chcesz czy nie chcesz, przymusowo. Ja mówię, przymusowo.

**Rafał Pękała:** Nie było innego wyjścia.

**Władysława Kamińska:** Tak, nie było innego. Bo mówię, siostra poszła z tą kartą, a on mówi: „Macie dwie drogi. Albo na Wschód, albo na Zachód. Jak nie pojedziecie na Zachód, to pojedziecie na Syberię”. To wiadomo, to już, mówię, jechaliśmy na Wschód. Tak i to był przymus. To nie było... I wolno było wziąć tyle, ile uniesiesz. Ile uniesiesz. Więc, proszę pana, tak, przecież plecaków nie było. Mamusia jakieś takie tylko worki. Z czego te mamusia worki szyła, już też nie pamiętam. Chyba od tych ruskich żołnierzy dostawaliśmy jakieś tam takie wojskowe te, wie pan, od deszczu takie, oni nazywali to „pałatki”. Nie wiem, jak to nawet po polsku powiedzieć. Oni nazywali to „pałatki”.

**Rafał Pękała:** Tak samo.

**Władysława Kamińska:** Od deszczu, takie, wie pan, nieprzemakalne. To za pół litra to taką przyniósł jedną czy dwie takie. To były takie peleryny. O, wie pan, od deszczu takie. To mamusia poszyła worki. Worki, normalne woreczki. I żywność się brało, bo przecież jedziemy w nieznane, nie wiemy, skąd my dostaniemy, kto nami się zaopiekuje. I tak, chleb suszony, mamusia piekła chleb i suszyła na suchary, i te suchary do tego worka. Bo suchary wodą rozmoczysz i jest normalny już miękki. Masło kupowała, przetapiała, nie było słoików, bo przed wojną nie pamiętam słoików, ale były butelki tylko szklane. I pan sobie wyobraża, butelka ciężka jako butelka. I te butelki półlitrowe nalewała tym masłem, tak jak dzisiaj są te masła klarowane. To masło przegotowywała, że ono już nie psuło się, bo tak to by zgorzkniało po drodze. Więc mamusia garnek tam parę kilogramów tego masła i to gotowała tam jakiś pewien czas, aż ta woda

wszystka odparowała, tylko już został stuprocentowy tłuszcz, nalewała te butelki, żeby jakiś tłuszcz mieć i potem, jak już byliśmy tu w Bydgoszczy, to łyżeczkę tego masła na garnek zupy, i już zupka była jaka, z czegokolwiek, z lebiody, z zielska jakiego ta zupka. a już od tego maselka już ta zupka miała jakiś smaczek. Kaszę, mąkę. To zabieraliśmy tylko. Z ubrania chyba, nie pamiętam, czy coś... Bo nie było jak zabrać. Tylko każda z nas miała tak: na plecach worek, obojętnie, czy to był z sucharami, czy był z mąką, worek. Na szyi drugi worek i tu była jedna torba, tu była druga przewieszona. I w ręce dwa woreczki. I tak każda z nas była obciążona, ile tylko można było udźwignąć. Żywność i bielizna. To tam troszeczkę tej bielizny na zmianę, żeby jednak zmienić jakąś. Aha, i każda z nas miała koc. Tak że, jak ten worek był na plecach, to tak jak dzisiaj turyści, to ten koc był zwinięty w wałeczek i tak, wie pan, za tę torbę, tak jak za plecak dzisiaj zakładają, tak my za tę torbę mieliśmy przymocowany ten wałek tego koca. Koce kupiła siostra na rynku. Nawet taki jeden koc ja mam do dziś, tylko z tym że na działce go mam. Od francuskich żołnierzy, którzy byli jeńcami niemieckimi i już, jak wojna się skończyła, to oni tu w Polsce byli i już też do Francji chcieli dostać się do swoich rodzin. I te swoje wojskowe koce sprzedawali. To był czarny koc, który miał na brzegu paseczek czerwony, taki paseczek jeden czerwony, a jeden biały taki paseczek. A cały koc był czarny, czysto wełniany. Taki był niedobry, gryzący taki z tej wełny tej... Nie mogę chwycić tej nazwy. Taka ta wełna gorszego gatunku, rozumie pan, bo te wełny dobre, to mięciutkie, a to, że on taki był gryzący, że aż... Ale każda z nas miała taki koc kupiony. I ja ten jeden mam do dziś na działce. Nie raz tam jak trzeba na ziemi, to położę go. Ja mówię, wiecie co, nie mogę go wyrzucić, bo to jest taka po prostu pamiątka z Wołynia, z 1945 roku, mówię, ten koc. I to tylko mieliśmy ze sobą. Tylko żywność, żadnego przecież ani mebla, no, nic nie można było zabrać. I przyjechaliśmy tu, po dwóch tygodniach, dwudziestego byliśmy w połowie czerwca tu, koło 10 czerwca. Aha, na Śląsku przekupiła kolejarzy siostra, wódką, ma się rozumieć, bo czym innym nie było, zresztą nie mieliśmy pieniędzy, tylko wódką przekupiła kolejarzy i odczepili nasz wagon od tego składu całego, co jechał na Wałbrzych i proszę pana, nas skierowali na Inowrocław. Doczepili do jakiegoś wagonu, który jechał na Inowrocław. I przyjechaliśmy do Inowrocławia, potem znów czekaliśmy tam na stacji dzień czy dwa i w końcu jakiś tam jechał do Bydgoszczy, przywieźli do Bydgoszczy. Na bocznicę postawili i już jesteśmy na miejscu. Siostra idzie szukać stryja, bo mamy tu stryja, już teraz będziemy i mieszkanie mieli, wszystko, bo stryj ma piękną kamienicę. Znalazła. Doszła na Gdańską, odszukała dom, wszystko. Ale stryja nigdzie nie widzę, żeby gdzieś wizytówka była. To weszła, do pierwszego lepszego zapukała domu, pyta się o stryja, o właściciela domu. „Proszę panią, na Syberii jest”. Wywieźli na Syberię. Jak weszli, to już wyzwolenie weszło, to pan wie, że jak to jest. Zawsze są i dobrzy ludzie, i źli. I przyjaciele, i wrogowie są też. I ktoś tam jednak dał, poskarżyli do władz, a władze to jak wiadomo, były przeważnie rosyjskie władze, że bogacz, samotny, kawaler, nie ma rodziny i stryja wywieźli na Syberię. Nie mamy opieki żadnej i stoimy na tym dworcu. Potem gdzieś dowiedziała się, że jest urząd. Nazywał się PUR. Państwowy Urząd PUR. Państwowy Urząd Repatriacyjny, PUR, który zajmował się repatriantami. Dotarła do tego urzędu, przedstawiła naszą sprawę, że siedzimy w wagonie tym bez dachu, bez niczego. Najgorsze, jak deszcz lał, to tak było ciężko. Bo leje na nas, nie ma schowania żadnego. I przydzielili nam poniemiecki domek, taki jednorodzinny, dwa pokoje, kuchenka. Takie przedmieście Bydgoszczy, Szwederowo, poniemieckie, bo Niemcy jednak bali się, jak już szło wyzwolenie, to oni uciekali. Za armią niemiecką uciekali w głąb Niemców. Bali się zostać tu. Może nie wszyscy, ale właśnie na tej inowrocławskiej ten domek był poniemiecki. Ale wie pan, jak już myśmy dostali, odnaleźli tę ulicę, to domek jest tak: bez drzwi, bez okien, bez podłogi, bo obecni mieszkańcy tutaj tejże ulicy, ponieważ pusty dom poniemiecki stał, na drzewo sobie brali drzwi, okna, podłogi na drzewo. I myśmy... No, był dach. Był dach tylko. Dach był dobry, bo była ta... Nie blacha, bo u nas to był na Wołyniu pod blachą dom piękny.

A to były te cegiełki takie.

**Rafał Pękała:** Dachówka.

**Władysława Kamińska:** Jak to się nazywa?

**Rafał Pękała:** Dachówka?

**Władysława Kamińska:** Dachówka. A dachówka to tak jak już ja potem byłam starsza, rozumiałam, to była karpiówka, czyli to było dobrze położone, bo jedna na drugą zachodziła. Bo nie raz to jedna obok drugiej, wtedy robią się te dziury, a to była ładnie położona karpiówka, jedna na drugą, to mówię, dach mieliśmy dobry. No i to wszystko. I siedzimy bez drzwi, bez okien, siedzimy. Tak sąsiedzi nie powiem, ludzie byli dobrzy po wojnie. Wie pan, dobrzy byli ludzie po wojnie. To znaczy, liściwi byli. Tak, wie pan, każdy jednak wiedział, że takie nędze mamy, że nas tu siłą przywieźli, bo myśmy nie chcieli przecież tu. Repatriacja siłą była. Pomagali. Kto, co miał, kto, co miał nazbyt, bo wiadomo, nie dał tego, co sam korzystał, ale kto, co... A oni po Niemcach to dużo obłowili się, bo oni potem te domy zostały puste, to rozgrabiali, wiadomo, jak pusty dom został, to wszystko zabierali. To tak, ten jakiś stół tam ledwo czy kiwający się, ale stół. Ten jakieś tam krzeselko, czy taborecik przyniósł. I tak wie pan, tam po troszeczkę. Ktoś tam spać na czymś. Nie ma łóżek, nic nie ma. Ktoś tam z desek zbił takie, no, jak to mówią, prycza taka. Wie pan, cztery nogi i deski, żeby chociaż jakoś tam było. I tak że jakoś mówię, tak naprawdę po troszkę nam pomagali. Z urzędu nie dostaliśmy, tylko ten domek. Ale w sensie zapomogi, żeby... znaczy, taka jakaś pieniądze, nie. Tylko ten domek dostaliśmy ponemiecki. I wtedy, 1945 rok, mamusia, ponieważ miała dużą rodzinę, bo mówię, było ośmioro nas, potem zmarło dwoje, sama szyła wszystko. Miała przed wojną już maszynę dobrą. Najpierw miała tę taką, pamiętam, na rączkę, co się kręciło ręką, a potem już przed wojną miała nożną, że już pedalik był i noga tylko tu i maszyna szyła. Singera, czyli już te tak jak do dzisiaj znane, fabryka Singera, już mamusia przed wojną miała maszynę Singera. I szyła dla dzieci swoich, wszystko sama szyła. Prócz takich już, potem jak moje siostry były panienkami, już jak pan wie, dorosłe, to wtedy już krawcowa szyła, ta Żydówka Sura wszystko szyła. Ale takie jak to dzieci mniejsze, to mamusia sama. I jak tu z sąsiadką dogadali się, że sąsiadka ma maszynę, tę Singera właśnie ma maszynę. I ma dużo materiałów, kupionych materiałów, czyli wie pan, nagrabione w czasie wojny. Chciałaby, żeby ktoś jej coś poszył z tego. To była młoda osoba. Taka koło trzydziestki. Swakowska nazywała się. I ona jak dogadała się, że mamusia szyje sama, że umie trochę coś uszyć, to ona mówi: „Ja dam państwu tę maszynę, a wy mi odrobicie szyciem za tę maszynę. Poszyjecie mi coś”. Chciała się stroić, ubierać. Była młoda wdowa. I mamusia z siostrą, siostra mamusi zaczęła pomagać, bo mamusia potem mówi: „Boże, ja też takich nie szyłam sukienek wyjściowych. Dla dzieci swoich tam obszywałam. Nie raz jak pan wie, z czegoś większego przerabiał się na dziecko mniejsze. I z siostrą zaczęły szyć. I troszeczkę już nam jakoś, bo już jakieś wleciało coś, to już tę Singera maszynę, już była własna. Potem już komuś uszyła, to tam już jakieś parę złociki było. Ale niedługo, niedługo. To było tak parę miesięcy i siostra dostała się do pracy na lotnisku. Wojskowe lotnisko w Bydgoszczy było. A, dostała się do pracy... Zapoznała oficera z tego lotniska. A w tym wojsku znalazł się mój kuzyn, tego mamusi brata Franciszka Sawickiego syn, który był na Syberii i poszedł do wojska z Berlingiem, i szedł z wojskiem polskim, wyzwalał Polskę. I on potem był w lotnictwie, i właśnie dostał się do Bydgoszczy. I jakoś nie wiem, że on nas odnalazł. On nas odnalazł. Że my tu w Bydgoszczy jesteśmy.

I przyszedł do nas. Boże, jak zobaczyliśmy po tylu latach, na Syberii był, był młodym chłopaczkiem, a to już 27-28 lat miał wtedy, jak już... I potem mówi: „Ach, ja na drugi raz przyjdę ze swoim dowódcą. Ze swoim dowódcą przyjdę”. Bo on tak pomyślał chyba. Dowódca kawaler jest, a tu siostra moja panna i przyszedł z tym dowódcą, takim kapitanem Kurażyńskim i siostra zapoznała się z tym oficerem, zaczął do nas przychodzić, zaraz pracę jej załatwił na tym lotnisku, w biurze. W planowaniu pracę siostrze załatwił. To już siostra miała pensję i pochodzili chyba... Był 1945 rok, chodzili. I w 1946 roku, na przełomie, znaczy Sylwester 1946 na 1947, wzięli ślub. I potem szwagra... Jak ja wyszłam za mąż, to zaraz szwagra przenieśli do Warszawy, do ministerstwa. Na koniec już siostra w Warszawie mieszkała z rodziną całą. I mówię, wyszła siostra za tego Kurażyńskiego. Bardzo wspaniały człowiek. Też Sybirak był, który przybył wywieziony na Syberię, bo był przed wojną też podchorążym w polskim wojsku. Był starszy od siostry 10 lat. Bo w czasie wojny już na Syberii się nie ożenił, przed wojną nie ożenił się, a na Syberii już tym bardziej. I też poszedł z wojskiem już tutaj Berlinga. Nie poszedł z Andersem, tylko z Berlinga. Poszedł i mówię, on był oblatywaczem samolotów. Poważną miał funkcję. Jak samolot był czy po remoncie, czy co, to on pierwszy oblatywał samoloty. I potem przenieśli szwagra do Warszawy, do ministerstwa. Awansował na pułkownika i potem już normalnie jak lata były emerytalne, to poszedł na emeryturę. Żył do 86 lat szwagier i zmarł w 1994 roku. A siostra 20 lat jeszcze żyła po szwagrze. Zmarła dwa lata temu. Tak że mam w Warszawie dwie siostrzenice tylko. Jedna w Wilanowie ma domek, a druga na Mikołaja Trąby. Na Mikołaja Trąby to chyba jest... Mikołaja Trąby, zaraz, zaraz... Wylatuje mi to... Wiedziałam, jaka to dzielnica Warszawy. Czy nie Mokotów będzie? Mówię, mówię, Mikołaja Trąby. Jeszcze do syna kiedyś mówię: „Włodeczku, weź, zobacz w internecie...”, ten, co zmarł syn, „Zobacz, kto to był ten Mikołaj Trąba, bo takie mi jakieś, no, jego ulica”. I zaraz syn znalazł, mówi: „Mamusi, to był biskup. Ale bardzo zasłużony był w czasach tej niewoli naszej, bardzo zasłużony dla polskośći, patriota wielki właśnie biskup był”. Bo mówię, Mikołaja Trąby. Tak że mam tylko dwie siostrzenice w Warszawie.

**Rafał Pękała:** Chcę zapytać panią, w jakich okolicznościach poznała pani te okoliczności, w jakich zginął pani tata. Pani mówiła, że w drzewie ukrywała się córka Wołoszyn, tak?

**Władysława Kamińska:** Tak.

**Rafał Pękała:** Kiedy się spotkaliście? Kiedy ona pani o tym opowiedziała?

**Władysława Kamińska:** Proszę pana, po wojnie zaczęliśmy się odszukiwać, bo pan wie, rozpędzili nas po całym świecie, więc ten mój kuzyn, Piotr Sewruk, stryjeczny brat, mieszka w zielonogórskim. Jego tam wywieźli do zielonogórskiego. Już nie pamiętam dokładnie miejscowości. Niedaleko Międzyrzecza. Gdzieś tam niedaleko Międzyrzecza. I potem już po wojnie odnaleźliśmy się. On nas odwiedzał i potem ja byłam u niego, on wydawał za mąż córę. I bardzo prosił, przysłał listy, żebyśmy przyjechali na to wesele. Bo to ta rodzina już była taka porozbijana, tak jej mało było. I ja z mężem, jeden syn pojechał, drugi mamusię pilnował, bo moja mamusia już wtedy... Cztery lata bezwładną mamusię miałam. To jeden syn został z mamusią, żeby dopilnować i tam sąsiadkę prosiłam, żeby dopilnowała, a jeden syn z nami pojechał. I pojechaliśmy właśnie na to wesele do tego Międzyrzecza. A tam w tym Międzyrzeczu właśnie Wołoszynowa była, czyli jej męża, tak jak mówię, tego mego chrzestnego zamordowali, a ona z dziećmi, nie wszystkimi, bo jej połowę dzieci wymordowali. Bo to jeszcze była taka sprawa. Żona Wołoszyna była prawosławną,

była Ukrainką. Ale była bardzo ładną kobietą. I wie pan, jak to mówi się, miłość nie przebiera. I on jeszcze tatusia się radził, bo jak moi rodzice kupili tę ziemię, to on był jeszcze kawalerem, ten pan Wołoszyn. I tak tatusia radził się, mówi: „Mam na oku, bardzo podoba mi się ta, ale jest prawosławna i jest Ukrainką”. A tatuś mówi: „No, wie pan, trudno radzić w takich sprawach sercowych, ale jeżeli pan uważa...”, bo kiedyś to tak na „ty” się sobie nie mówiło. Wie pan, że u nas wszyscy sąsiedzi na „pan”, nie było tego, że po koleżeńsku „ty, ty, ty”. Na „pan” się mówiło. Mówi: „Jeżeli pan uważa, że będzie z nią szczęśliwy, to...”. A, nawet jeszcze inaczej. Jeszcze inaczej. Znalazło się dziecko u tej pani. Ona miała na imię Barbara, czyli po rusku Warwara. Nie Barbara, tylko Warwara. Znalazło się dziecko. Synek się znalazł. I on przyszedł, i mówi: „Co pan mi radzi?”, a tatuś mówi: „Wie pan co...”, bo tak potem mamusia mi to wszystko opowiadała. Mówi: „Wie pan co, skoro już jest dziecko, a dziecko potrzebuje, żeby ojciec też był. Jeszcze synek jest. To ja już radziłbym panu wziąć ślub. Tylko, żeby ona przeszła na wiarę katolicką”. „Tak, ona zgadza się na wiarę katolicką przejść”. I ta pani Barbara przeszła na wiarę katolicką. Jeszcze mamusia z tatusiem, tak jak gdyby, wie pan, byli chrześnymi, bo niby prawosławna wiara to też są chrześcijanie, ale u nich inny obrządek, bo u nich pop się żeni. Troszeczkę inny obrządek. I mamusia była chrześną, chyba z tatusiem, tego Piotrusia, tego synka, który się urodził z nieprawego łoża, bo ona panną go urodziła. Rodzice byli chrześnymi, już ksiądz chrzczył to dziecko, i ona przyjęła katolicyzm, i wzięli ślub, ale jej cała rodzina, tej pani Barbary Wołoszynowej, mieszkała w Derażnem. Miała braci chyba kilku i siostry, i byli normalnymi, prawdziwymi Ukraińcami. Ona tylko przeszła na katolicyzm. Ale była taką prawdziwą już potem Polką, katoliczką. Ale jak już ten straszny napad był na nas, zabili jej tego męża, to ona schroniła się jednak u swojej rodziny w Derażnem, u tych braci, bo to są Ukraińcy i oni ją schronili. Ale synów ich... Bo tam było dwanaścioro dzieci, dwanaścioro dzieci było. Ale synów to kilku jednak zabili. Pawła zabili, Piotr był pierwszy. Paweł był rocznik mego brata, 1924 czy 1925. Pawła zabili, taki był wysoki, przystojny chłopak. Mieczysława zabili, Józefa zabili. Potem jak ona już była u tych braci, ale jak chłopaki, gdzieś wyszedł poza dom i już zabity był. Tak że ona ocalała się, to został mój rówieśnik Józio, co ze mną razem do szkoły chodził, 1930 rocznik. Hania była ode mnie chyba rok młodsza, bo była 1931 i Hania to opowiedziała mi. I potem była jeszcze Aniela, Franio, Stasio i jeszcze były młodsze dzieci takie ode mnie. To te młodsze zostały, a te starsze jeden Piotr ocalał. Czyli najstarszy syn ocalał. A potem tych trzech zabito: Pawła, Mieczysława i Józefa. Mania była trzecia w rodzinie, to Mania też ocalała, Maria. I te młodsze dzieci ocalały. Tak że ta Wołoszynowa straciła bardzo dużo, mówię, trzech synów i męża straciła w tym pogromie. I ta Hania, jak myśmy uciekali, to musieliśmy ponad ich domem przebiegać. Uciekając na te Pendyki. I siostra wskoczyła na podwórko i do okna tylko grzmotnęła pięścią, a oni, bo to była pora obiadowa, cała rodzina siedziała przy stole przy obiedzie. I siostra krzyknęła: „Napad!”. I oni też zaczęli uciekać. Gdzie, kto mógł. A ta Hania, na dworze było takie na opał z lasu gałęzie nazwożone, bo to jak wiadomo, zawsze gajowi, leśniczy dawali nawet za darmo, żeby oczyścić las, chrust taki. I ona w ten chrust tam się wtuliła, i tam jeszcze ktoś. Niektórzy do piwnicy tam pochowali się. Tak że jak ci Ukraińcy wbiegli do ich domu, to w domu już nie było nikogo, bo oni zdążyli się... Oni z nami nawet nie uciekali. Tylko pochowali się. Te do piwnicy, te tam gdzieś do stodoły, tam w chruście i schowali się. Ojca nie było, bo ojciec pojechał do Derażnego, to ojca nie było w domu, ale ojciec akurat nadjechał w tym czasie. Nadjechał z tego Derażnego i po drodze go schwycili i zamordowali. I tak jak ja już byłam u tego kuzyna, to on mówi: „Teraz spotkasz się ze swoją koleżanką Hanią Wołoszyn, bo tu niedaleko oni są”. Matka jeszcze żyła, ta ich mama, ta pani Barbara żyła też jeszcze i właśnie spotkałam się tą panią Wołoszynową, i z tą Hanią, i ona mi opowiedziała śmierć mego ojca. Właśnie ta Hania, naoczny świadek.

**Rafał Pękała:** Co pani poczuła, jak usłyszała o tym?

**Władysława Kamińska:** Wie pan co, to było takie straszne przeżycie. Ja mówię, już dzisiaj to się tak zabezpieczyłam, bo po prostu potem już serce mi nie wytrzymało tego wszystkiego. Straszne to są przeżycia. Ja mówię, jak jeszcze ona mi powiedziała, że ojciec tak jeszcze prosił go, żeby mu życie darował, mówi: „Sasza, co ja ci zrobiłem, że ty chcesz...”, a on mówi: „Nic, pan był dobrym sąsiadem, ale Polakiem. A dlatego, że Polak, to trzeba zabić”. Ale mówię, tatuś mój zginął od kuli. Nie był męczony, nie był mordowany. A tak jak oni mordowali, w jaki sposób, to wie pan co, to w ogóle ludzki rozum nawet nie jest w stanie tego pojąć, bo wydaje się, że to nie może, to niemożliwe, żeby tak było. Nie wiem, czy panu w tej chwili, bo ja już jestem chyba za słaba, żeby to opowiadać w tej chwili te mordy, w jaki sposób oni mordowali tych Polaków. Syn miał książkę. Syn miał książkę, w której było opisane, bo taki był... W Mrągowie zawsze... moja rodzina tam mieszkała. Właśnie moja siostra najstarsza mieszkała z tą siostrzenicą, co była nauczycielką i tam odbywały się festiwale kresowe. Może tak panowie coś słyszeli o tych festiwalach. Co roku w sierpniu był festiwal kresowy. I myśmy zawsze już jechali na ten festiwal kresowy, bo przecież to dla nas było posłyszeć nasze kresowe piosenki. Przecież, jakie na Kresach piękne piosenki były ludowe. Wie pan, w ogóle Kresy to była tak, tak piękny kraj, taki, wie pan bogaty. Ludzie tacy dobrzy, gościnni strasznie. Bo Kresowiaczy są bardzo gościnni i bardzo świetli ludzie. Przecież, wie pan, nasi wszyscy najwybitniejsi ludzie, wszyscy z Kresów pochodzą. Wszyscy z Kresów pochodzą. Ja, jak czytałam książkę, bo ja bardzo dużo czytam, to przecież czytałam, to każdego dowódcę, jakiegoś czy powstania, czy coś, to z Kresów. Kościuszko z Polesia pochodzi. Przecież tak jak i wiemy, i Mickiewicz, i Sienkiewicz, i pisarki nasze, i Rodziewiczówna, i Orzeszkowa, to wszystko z Kresów pochodzi. Tam byli ludzie bardzo świetli na Kresach. Tylko strasznie prześladowani. Tam, jak taką historię czytałam, czarne karty Kresów, to gdzieś od roku to było 1915, to wie pan co, zawsze najciężej ucierpiały Kresy, bo tak były dręczone przez Moskali, przez zabór rosyjski. Kresy bardzo ucierpiały zawsze. Ja się urodziłam osiem lat po braciszkach. Czyli już mamusia była w tych latach podeszłych, przejściowych, ja się urodziłam. I siostra miała, bo siostra 1918 rocznik, a ja 1930. 12 lat różnicy między nami. To ja miałam 10 lat, to siostra miała już 22 lata. I siostra ma albumy, ma piękne te zdjęcia, a przed wojną bardzo dużo tych zdjęć jednak miała siostra. To ja chcę, wie pan, jak to dziecko przekorne. Ja też chcę mieć te zdjęcia. I poszłam do niej, a ona mi nie chce dać. Poszłam i płaczę. Do mamusi płaczę, że Ziutka ma tyle, bo Józefa w skrócie mówiliśmy Ziuta na siostrę. „Ziutka ma tyle zdjęć, ja nie mam ani jednego. Ja bym też chciała mieć”. Mamusia mówi do siostry: „Słuchaj, jak któreś masz podwójne albo któreś ci się tam nie podobają, daj jej parę tych zdjęć. Niech nie jęczy mi tutaj, że...”. To siostra, które jej tam się nie podobały, dała mi te zdjęcia. A ja nie wiem, wie pan, czy to już tak jednak z góry mnie kierowało, nigdzie jej nie schowałam, tylko miałam płaszczyk ciepły, kiedyś to na wacie były te płaszczyki. Z baranka kołnierzyk miałam przy tym płaszczu, futrzany, i kieszenie. I ja w tych kieszeniach te zdjęcia miałam. Te, które pan widział. To mówię, bo mamusia miała bardzo ładne te zdjęcia swoje panińskie. I siostra, które... widocznie może podwójne, a może miała, nie podobały jej się, dała mi te trzy zdjęcia, to ja mówię, jedno siostra zabrała, tylko mi odbitkę dała, a to, mówię, te... A to u niej te rodzinne zdjęcie takie malutkie. Potem miałam takie piękne. To był 1938 rok i akurat nowe dowody się robiło, osobiste. I tatuś wtedy mówi: „To jedziemy wszyscy do Derażna, do fotografa. Zrobimy pamiątkę, rodzinne zdjęcie”. Już i mnie zabrali do tego miasteczka, żeby było, tylko nie było najstarszej siostry, która już była mężatką, bo w 1935 roku wyszła najstarsza siostra za mąż. I ja, i te rodzinne zdjęcie miałam w kieszonce. Ocalały, przez to ja ocalałam, bo miałam przy sobie w tym płaszczku. A ten płaszczyk miałam zawsze na sobie. Może jeszcze opowiem panom. Ja miałam... Teraz już... Już dawniej, prze-

stałam. Po prostu miałam... To też jest taki może jakiś dar wrodzony, czy jakieś coś jest. Przewidywać coś, wie pan, naprzód przewidywać coś. Ale tak przewidziałam, że od A do Z wszystko się spełniało. I co jeszcze było? Pomyślałam, to mi się to spełniało, jak pomyślałam. Wie pan, że to było potem niebezpieczne już dla mnie. I już potem jako dorosła osoba z lekarzem rozmawiałam na ten temat. I potem jeszcze nawet z księdzem rozmawiałam. Mówi: „Proszę przestać w ogóle”. Miałam jakąś taką zdolność do tego. A telepatia do dziś działa. Jak ja pomyślę o swojej, gdzieś tam przyjaciółce w świecie czy gdzieś, za parę minut mam telefon od niej. Telepatia do dziś działa. W tym dniu wyjazdu, już na te Pendyki, to jest ten dzień 22 marca. Mówi mamusia... Aha, z poniedziałku na wtorek... O Jezus, muszę jeszcze rozszerzyć. W domu naszym były kaflowe piece. Piec był, wie pan, tak jak ta podwójna szafa i jeszcze ta, taki piec był. Ten piec był w ścianie, że on ogrzewał dwa pokoje. W jednym pokoju była tylko ściana pieca, a w drugim pokoju była część większa pieca, gdzie były drzwiczki na opał. Opałało się drzewem. Drzewo było dębowe, dobre drzewo, opalało się drzewem. A przy tym piecu, tak jak pan widzi, taki piec ponad metr, więcej, gdzieś do półtora prawie, bo to na dwa pokoje. Stała taka, powiem, ławeczka mała. Ławeczka. Węższa może jak to, ale tak jak ten piec dłuższy, tak to, żeby usiąść, pogrzać się, bo tak fajnie w plecy grzeje ten piec. Mamusia lubiła zawsze położyć się i tak wygrzewać sobie te plecy przy tym piecu. Nieraz słyszę, tatuś woła: „Ludwika, chodź do łóżka”, bo rodzice mieli sypialnię. Mieli dwa łóżka, sypialnię mieli, a ja spałam z siostrami. W drugim pokoju bracia mieli swój pokój, i jeden był piękny stołowy taki salon, olbrzymi pokój. Mówi: „Toż ty na tej ławce, drewniana ławka taka, wiadomo, toż tam skostniejesz”. „Zaraz przyjdę, zaraz przyjdę”. A mamusi tak dobrze tam było pod tym piecem tak się wygrzewać, bo tam każdy lubił posiedzieć, poleżeć. Proszę pana, śni mi się z poniedziałku na wtorek, czyli z 21 na 22 marca, śni mi się, że ja wchodzę do pokoju rodziców, bo to było w sypialni rodziców, a tak jak ten piec był tak i ta ława tak stała. W głowach tej ławy stoi olbrzymi krzyż. I ja wstałam rano, i mówię do siostry, zaczęłam płakać i mówię: „Ziutka, coś z naszą mamusią złego, żeby się nie stało”. A mamusia bardzo na serce chorowała. Mówię: „Wiesz, co mi się przyśniło? Że jak mamusia leży, tam, gdzie mamusia głowę ma, to taki duży krzyż stał”. Ja tak sobie to wytłumaczyłam, że u mamusi w głowach stał krzyż. To było z poniedziałku na wtorek. A we wtorek zginął tatuś, czyli trzeba tak wytłumaczyć, że w głowach mamusi krzyż, czyli głowa rodziny zginęła. To taki miałam sen. Wie pan co, proroczy to sen. W głowach mamusi olbrzymi metalowy krzyż stał. I mówię, i z tego samego dnia zginął tatuś. Jak już mieliśmy jechać na te Pendyki, to mamusia kiedyś przecież, wie pan, nie było łazienek, dawne czasy przedwojenne, nie było łazienek, Ale były takie tak zwane balie. Nie wanna, tylko to się nazywała balia. Olbrzymia drewniana taka balia. Takiej wysokości, że bardzo dużo wody się nalewało. I mamusia nalewała. Była taka spiżarnia. Spiżarnia, bo nie było, nie powiem, że była łazienka. To była spiżarnia, ale taka duża ta spiżarnia z tymi wszystkimi półkami na przetwory, na wszystko, na mąki, na wszystko była taka skrzynia. I mamusia tak: gary wody gorącej, nagrzała na piecu, na płycie nagrzała, bo był piec chlebowy i płyta była normalnie tak jak płyta z fajerkami tymi, tak jak to, wie pan, te krążeczki takie. Taka na drewno. I wlała gorącej wody, potem z wiadro zimnej wody wlała, i się kąpało. W takiej bali się kąpało. A tu było, wie pan, to człowiek usiadł, to tak wody wkoło, bo to duże te balie były. I mamusia przygotowała tę balię i dumnie, ja miałam włoski długie i warkoczyki miałam. Bo to jak zawsze, dziewczynki warkoczyki. I mamusia mówi do mnie tak: „Dziecko, idź, wykąp się. Już ci przygotowałam. Tam masz czystą bieliznę, wszystko masz położone. Idź to spiżarni, wykąp się, żebyś już, bo nie wiadomo, kiedy my teraz będziemy w domu znów”. Myślało się, że my znów wrócimy do swego domu. „Kiedy my będziemy w domu, kiedy ty będzie mogła kąpać się”. Proszę pana, ja przyszedłam do tej, to mogła być godzina dziesiąta. Było po śniadaniu już. Napad był po dwunastej. Było może 15-20 po dwunastej, jak był napad. Ja wie pan, rozebrałam się, weszłam do tej bali, usiadłam

i proszę pana, momentalnie mnie taki dreszcz, jak tak cała tak zatrzęsłam się. I taka myśl: „Na nas napadają bandyci, a ja siedzę golutka w tej wannie”. Wskoczyłam z tej wanny, nie myłam się, nie kąpałam się. Wskoczyłam z tej wanny, prędko ubrałam się, te pończoszki, bo to były moje takie patentki, za kolanem gumka. Ubrałam te pończoszki i wychodzę. A mamusia mówi: „Już się wykąpałaś? I włoski masz suche?”. „Nie, mamusiu. Tak jakoś mi straszno się zrobiło. Bałam się kąpać”. Wyczułam ten napad. Mówię panu, wtrząchnęło mną i myśl: „Za chwilę będzie napad, a ja goła siedzę w wannie”. To wyczułam. To mówię, wyczułam to. Potem nieraz mąż jakieś miał, no wie pan, samochód jakieś przygody, jakieś co, ja wszystko naprzód wyczułam. Ja widziałam dokładnie, co się stało, gdzie mąż jest, co się stało. I to mówię, miałam zdolność takiego jak gdyby, wie pan, przewidywania. I potem z lekarzem rozmawiałam.

**Rafał Pękała:** Dziękujemy za dzisiaj, za tę historię wzruszającą i przejmującą.

**Władysława Kamińska:** Tak to jest, wie pan, bardzo, na pewno i panom też to słuchać, to jest jednak bardzo takie to przejmujące, bo to mówię, to jest, to nie to, bo ja mówię, gdybym ja była, żeby mi ktoś opowiadał, bo mam dużo już takich, że ciocia opowiadała, babcia opowiadała, ten opowiadał. A ja to sama przeżyłam wszystko. To, co panom w tej chwili, to wszystko przeżyłam sama. Jak będę opowiadać o mordach, to już nie wszystkie widziałam, bo już też z opowiadania znam, którzy przeżyli to. Bo nie wszystkie widziałam, przeżyłam mordy, ale to, co przeżyłam, to przeżyłam. Przy zwłokach ojca, ja jedna z rodziny widziałam tatusia zabitego. Bo ani siostra, ani brat, bali się już do tych Pendyk podejść, bo obawiali się, że być może oni tam czekają na nas, aż my wrócimy do tego swego domu. Aż my wrócimy. A ja mówię, przebrana byłam za takiego chłopczyka, takiego mizerotę i mówię, i spotkali mnie po drodze, spotkali mnie po drodze, ale powiedziałam, że ja idę, a dobrze mówiłam po ukraińsku, bo człowiek przecież między nimi wychował się, w szkole między nimi, jeden rok szkoła była wybitnie ukraińska, tylko po ukraińsku. Jeszcze muszę poszukać swoje świadectwa przedwojenne.